

W Teatrze Miejskim w Gdyni premiera „Antygony”

Kreon w transie

Z Leszkiem Mądzikiem, który reżyseruje „Antygonę” Sofoklesa, rozmawia Grażyna Antoniewicz

Czy nas współczesnych interesuje „Antygona”? Tradycyjnie odczytuje się ten antyczny dramat jako konflikt między polityką a moralnością.

Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale dla mnie problem pojawia się dopiero po śmierci Antygony. W dramacie Sofoklesa zastanowiła mnie sytuacja, która dotyczy psychicznego stanu Kreona, władcy, który brnie coraz bardziej, choć wie, że to jest zaślepienie, prawie obłąd. Nie da sobie powiedzieć, że coś uczynił nie tak jak człowiek powinien. Zachowuje się jakby wpadł w trans. Można powiedzieć, że coraz mniej widzi szans

zatrzymania się w tym obłądzie. Pojawiają się kolejne ofiary, ale nie ma momentu, w którym Kreon powiedziałby: może ja coś nie tak czynię? Prawda dociera do niego dopiero, gdy jest pod murem, pod ścianą, nie ma już kogo tracić, ostatnia odchodzi Eurydyka. Kiedy zostają już tylko martwe ciała uświadamia sobie, co się stało. Teraz dopiero zaczyna się dla mnie dramat Kreona.

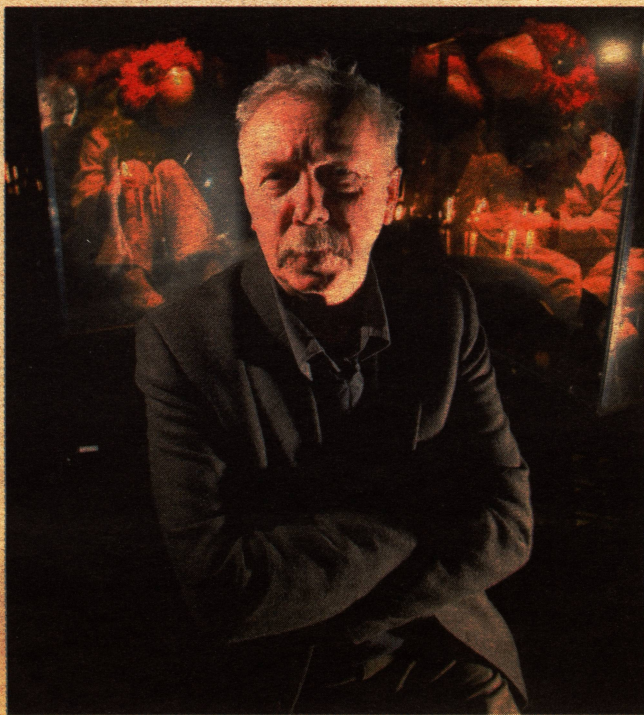
Zaczyna się właściwie kiedy sztuka się kończy.

To apogeum. Kreon pragnie umrzeć, żeby już nie cierpieć. Wie, że tylko śmierć jest wybawieniem. Mam wrażenie, że modli się, błaga: bogowie, dajcie mi umrzeć.

Ale bogowie są okrutni...

Oni są bezwzględni. To dramat niemożności pozbycia się ciężaru wyrzutów sumienia. Do Kreona dociera nareszcie, co uczynił. Ale nie ma odwrotu. To tak jak w życiu, czasem gdy kogoś tracimy, mówimy „popatrz, ile rzeczy mogliśmy zrobić, kiedy ona jeszcze tu była”. Dopiero śmierć sprawia, że pewne prawdy docierają do człowieka.

Znając Pana realizację, zastanawiałam się, czy w tym spektaklu usłyszymy tekst? Czy też będzie Pan z widzem rozmawiał obrazem, muzyką, dźwiękiem. Zawsze z niepokojem zaczynam taką pracę. Czasami sobie nawet tak marzyłem, żeby tę



FOT. TOMASZ HOŁO

„Antygonę” zrobić bez słów. Kiedy przygotowywałem spektakl „Osąd” z Teatrem Pantomimy Wrocławskiej jako temat miałem obraz Memlinga „Sąd ostateczny” i pomyślałem, może w „Antygonie” też tylko problem przedstawić, a nie wdawać się w dyskusję, rozmowy, dialogi. Pomyślałem – niech ten aktor będzie znakiem, plamą, gestem, jednak zrezygnowałem z pomysłu. Marzyłem kiedyś, że zostanę malarzem takim przy sztalugach, ale tak się stało, jak się stało i dzisiaj dla mnie blejtrammem jest rama sceniczna. Ja przed widzem tworzę obraz malowany w czasie. Czas jest tym, co się po kolei zmienia w tym obrazie.

Dokonał Pan jednak pewnych skrótów w tekście.

Po to, żeby usunąć z tej sztuki jakieś wyznaczniki literackie, takie opowiadające. Aktor nie musi powiedzieć „podnoszę rękę”, on może ją podnieść itd. Chcieliśmy, żeby z tego tekstu zniknęła pewna opisowość, ornamenty, ozdoby. Szukaliśmy jak największej syntezy. Zawsze boję się, czy to nie będzie aż taki skrót, że spektakl potrwa tylko pół godziny. Tu przekroczyliśmy godzinę, ale niewiele. Chcieliśmy, żeby widz podążał cały czas z napięcia w napięcie.

Jak się Panu pracowało z gdyńskimi aktorami?

Już od 40 lat buduję swój teatr i wiem, że przez obraz zderzony z dźwiękiem, z muzyką,

można przekazać wiele prawd o człowieku. Kiedy jednak realizuję spektakl w teatrze dramatycznym, zawsze niepokoję się, czy zespół wejdzie w taką formę. Ale ja mam dużo szczęścia, myślę, że do tego zespołu też. Aktorzy wiedzieli, w jakiej materii pracuję. Przeczuwałem w nich gotowość innego spotkania, zaciekawienie, ale w tym zaciekawieniu była chyba i wielka życzliwość, otwarcie. Nie byli nielojalni wobec tej materii, a nawet mam wrażenie, że w pewnym momencie bezpiecznie się w niej poczuili.

Jak zwykle w Pana spektaklach ważną rolę odgrywa światło...

Nie ma pełnego oświetlenia, jest mrok, który mi daje cudowną możliwość schowania się, bycia tylko z widzem. Jeśli chodzi o formę – każda z osób ma snop światła, w który wchodzi i wychodzi, z którego ginie i pojawia się. To jest takie moje myślenie inspirowane malarstwem Caravaggio, Rembrandta, czy de La Tour. To jakby ożywienie obrazu. Światło jest dla mnie jak pędzel na czarnym blejtrammie, ale malowane białą farbą. Dla mnie zawsze ważna była przestrzeń, ona nigdy nie była obojętna. W wypadku „Antygony” chciałem, żeby niosła te napięcia, które wypowiadają aktorzy. A więc ujawniamy je przez światło, przez plany, fakturę. To pewien rodzaj kosmosu, w którym gdzieś wędrujemy.